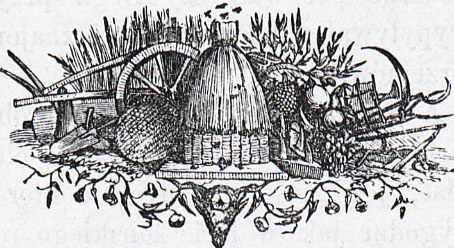
Tom XII.  **Nr. 6.**

21. lutego **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nieboszczyk xiądz proboszcz z Wierzchosławic.

Pisanie Józefa z pod Tarnowa.

Ciężkie to teraz czasy dla nas gospodarzy, zboża i mniej, i gorsze i niepopłatne i kupcy po niego nie spieszą, a wydatki przy zbiorze były wielkie, a podatki te same, a czeladkę trzeba zapłacić, więc frasunek dla nas gospodarzy nie mały — zkąd tu wziąść grosiwa na to wszystko a nie zadłużyć się u żyda. Miałem ja kilka wołków, co już pare lat robiły, podprawiłem je przeto trochę i poszedłem z niemi na jarmarek do Dąbrowy, miasteczka o dwie mile od Tarnowa odległego, i gdy tak z niemi na targowicy stoję a kupca upatruję, wysłuchałem rozmowę dwóch gospodarzy, którzy przy mnie także z swemi bydlątkami stali, a z których jeden nazywał się Jan a był gospodarzem z Wierzchosławic, wsi nad Dunajcem położonej, a drugi Kasper i także z tych Wierzchosławic rodem, ale jak zmiarkowałem z rozmowy, sługiwał po dworach i ożenił się do gruntu w którejś wsi koło Dąbrowy i tam gazdował. Że zaś ta rozmowa była piękna i dużo dobrego zawierała a mnie bardzo do serca przypadła, a nawet nieco o frasunkach

teraźniejszych zapomnieć dała, więc ją spamiętałem, i dla czytelników Dzwonka przesyłam.

Obaj gospodarze pochwaliwszy Boga przywitali się pięknie, Kasper wypytywał o krewniaków i znajomych, a potem tak do Janka przemówił:

Kasper. A toć się zmarło waszemu proboszczowi.

Jan. Zmarło się, zmarło miły bracie, chorowało to biedaczysko parę lat, jeździło do różnych doktorów, nie raz go nie było parę tygodni jak w lecie łońskiego roku; jak przyjechał, namawiali go ludzie znajomi, aby się nie narażał, w słotne dnie nie wyjeżdżał, w zimno do kościoła nie chodził, ale wszystkie te gadania były na próżno, bo on, choć tam jest xiądz wikary, wszędzie chciał być sam, i choć coraz bardziej kaszlał i słabł, nie zważał na deszcz i zimno, i na naukę po wsiach jeździł, i do kościoła chodził i kazania choć cicho zawsze mówił.

Kasper. Aleć tam słyszę kościółek nieboszczyk przybrał, że wygląda jak w wielkiem mieście; ja u was już dawno nie byłem, tylko tak słyszałem.

Jan. Kościółka naszego mój Kasprze nie poznalibyście, i warto abyście choć na któren odpust do nas przyszli, i zobaczyli, tać to w całym kościółku kamienna podłoga, że się płóciennica od cegły już na czerwono nie wala, cały kościółek tak pięknie malowany, nawet w obrazy, że mi się ładniejszy wydaje jak w Tarnowie, a jak odpust i dużo xięży się zjedzie a nawet kanonicy z Tarnowa, to wtenczas aż się oczy radują; patrząc na te bogate przybory kościelne, złociste ornaty, kapy, a jakie kielichy, monstrancye, to i w Krakowie może piękniejszych nie ma, a wszystko to prawie z małą pomocą od gromad za swoje pieniądze nieboszczyk proboszcz sprawił lub od innych panów w podarunku dostał.

Kasper. Toć to musiał być piękny pogrzeb i musiało dużo być ludu na nim, musiał być płacz i lament.

Jan. To też to, że nasz proboszcz nawet nie umarł u nas, bo jak już co raz bardziej zapadał i już mu chodzić było trudno, przyjechał do niego jakiś znajomy pan, i namówił go, aby jeszcze do Wiednia pojechał i tam jeszcze jednego doktora

spróbował. On go też usłuchał, pojechał, i tam w Wiedniu umarł. Ledwie cztery tygodnie byliśmy w niedzielę na sumie, kiedy nam xiądz wikary z ambony zapowiedział, że Pan Bóg nam zabrał naszego proboszcza. Wtenczas to był płacz i lament w kościele, a potem tak samo ludziska płakali, jak znowu w parę tygodni u nas nabożeństwo za jego duszę było, — a takiego nabożeństwa rzadko zobaczyć, xięży było mnóstwo, a mszy odrazu kilka, trwało to dobrze z południa i mowa była piękna, gdzie żywot jego był opowiedziany.

Kasper. Oj szkoda to szkoda takiego xiędza, a jeszcze większa szkoda, że on też nie na swej ziemi, nie na waszym cmentarzu leży.

Jan. Nie frasujcie się o to, nieboszczyk nasz proboszcz zawsze mawiał, że bardzo Pana Boga prosi, aby tu na polskiej ziemi i przy swym kościółku mógł leżeć, nieraz, gdy się kurować wyjeżdżał, żegnał się z bliższymi gospodarzami i mawiał: proście Pana Boga, abym powrócił, a jeżeli święta Jego wola powoła mnie do siebie, aby moje kości tu między wami spoczywały — i tak też się stanie.

Kasper. A to jakim sposobem?

Jan. Oto widzicie, nie tylko nasi ludzie ś. p. xiędza proboszcza kochali i szanowalli, ale różni panowie, boć to był człowiek bogobojny, dobry do rady, jak komu przyjaciel, to i dopomógł, biednego nie opuścił a bardzo go lubił także książę. Jak się tedy książę dowiedział, że nieboszczyk tak sobie życzył między nami spoczywać, kazał podawać do różnych urzędów i tyle wyrobił, że jego zwłoki już na przyszły tydzień koleją żelazną z Wiednia przyjadą i u nas pochowane będą.

Kasper. A to pięknie, że się to tak stanie, bo będziecie go mieli w pamięci mając go między sobą.

Jan. My go zawsze w pamięci i w sercu naszem mieć będziemy, bo jak żył poczciwie i za życia dla nas pracował, tak i umarł poczciwie i dla nas na zawsze pamiątkę zostawił.

Kasper. A to jaką mój Janie, powiedzcie mi proszę, bo to tak miło to wszystko słuchać.

Jan. Ot widzicie, opowiadał nam xiądz wikary, jaki to nieboszczyk testament zrobił, najprzód tak zapisał, że co rok

jeden z takich, co to na xiędza wychodzą, będzie pobierał 50 złr. w. a., aby za jego duszę przez rok czterdzieści mszy odprawił; potem kazał nieboszczyk, aby tysiąc reńskich złożyć w kasie u naszego księcia, a procent ma dawać książę chłopcu z naszej wsi, któren do Tarnowa do szkoły chodzić będzie, a jakby takiego chłopca nie było, to książę z naszej wsi weźmie sierotę dziewczynkę i da ją uczyć w Strusinie w tym domu, gdzie to sieroty chowają; potem tysiąc reńskich kazał złożyć w urzędzie w Sączu, bo nieboszczyk ztamtąd był rodem i znowu procent będzie brać tamtejszy chłopiec, który się dobrze uczyć będzie — 500 złr. dał na przelanie dzwona w Nowym Sączu, a 500 złr. przeznaczył na wybudowanie kaplicy na naszym cmentarzu.

Kasper. Jak też to pięknie zarządził nieboszczyk, o teraz trudno o takim xiędzu zapomnieć, boć to na wieki jakiś biedak z waszej wsi będzie miał pomoc, i kapliczkę będziecie mieli.

Jan. My to sami czujemy, co on dobrego dla nas zrobił, to też zaraz gromada radę zrobiła, aby tę wolę uszanować do niej się przyczynić, a że na tę kapliczkę nasz książę daje materyały, więc parafia cała da wszelką robociznę, i zwiezie materyały za darmo, a tak Panu Bogu na chwałę, a naszemu proboszczowi na pamiątkę piękną kaplicę mieć będziemy, a ciało nieboszczyka pod tę kaplicę pochowamy.

Kasper. Jak tylko będę mógł, muszę ja być u was i to wszystko zobaczyć, a przytem także paciorek za tego poczciwego człowieka w tej nowej kapliczce zmówię — ale i gromady dobrze sobie poradziły, że nieboszczykowi taką wdzięczność okazują.

Tyle słyszałem, tyle opisałem, to jeszcze dodam, że ten proboszcz także był mój dobry znajomy, a zwał się xiądz Medard Neronowicz, a sami czytelnicy mi przyznają, że i gromady pięknie obmyślały, że się z ochotą do spełnienia jego ostatniej woli przyczynić chcą.

Dumki kmiece.

I.

Chłopska moja ty dolo!
Z twoją godzę się wolą;
Niwo potem sprawiona,
Wróć nam setne nasiona!

Trawo moja na łące,
Z ciebie żyje chudoba;
Wnet z pnia kosą cię strącę,
Wrzucę siankiem do żłoba.

Ziemio moja rodzinna!
Mówią ludzie, żeś płynna
Miodem, mlekiem... toć może,
Lecz gdy r ę k i d o ł o ż ę.

Jużci boża w tem wola; —
Sprawiedliwość chce boża,
Że zroszona krwią rola
Nam dostatku przysporza.

Pan bakałarz nie bajał,
Mówił słusznie, nie bredził,
Abym nie klął, nie łajał,
Gdy Bóg klęską nawiedził.

Chłopska moja, hej! dola,
Ciężkać, ciężka to praca;
Ale chłopska też wola,
Co dnia więcej popłaca.

Pan bakałarz sam przecie
Nie pogardza siermięgą,
Tylko chciałby jak wiecie
Prawd opasać nas wstęgą.

II.

Chata stoi pochyło,
Ale w chacie aż miło;
Dziatwa żywo się kręci,
A szczebiotem aż nęci.

Ba, nie głupiem paplaniem
Dziatwa k'sobie tak nęci,
Często z książki czytaniem
Chłopskie serce zasmęci.

Ciężko, prawda czasami
Na przednowku o wiośnie,
Lecz gdy wola jest z nami,
To i serca przyrośnie.

Śmiało naprzód! — to rada —
Krok za krokiem a z Bogiem
Jak xiądz pleban powiada,
A nie legniem odłogiem.

— Świat by leżał ugorem —
Czytał Jaś mój w niedzielę,
Gdyby pieniądz czcił z worem,
Gdyby każdy miał wiele.

A więc ciężka niedolo,
Ustąp miejsca wraz z biedą,
Gdy się dłonie zespolą
W pole biedę wywiedą!

III.

Rada w biedzie.

Hej, żyło się też żyło
Przez niedzielę całą;
Moc się grosza przepiło,
Aż na sól nie stało, —
Lecz gdy nam się tak wiedzie,
Przyszedł rozum przy biedzie.

Żono, odtąd w niedzielę
Z chaty krokiem nie ruszę,
Tylko będę w kościele,
By pokrzepić tam duszę,
Potem do dom się jedzie,
Bo mam rozum przy biedzie.

Potem siędę na ławie
Między dzieci z książkami;
Siędę sobie tak prawie,
Jak profesor z uczniami —
A mój Jasiek rej wiedzie;
Niech ma rozum przy biedzie.

Co tam łamać aż dłonie,
Nie wyłamiesz się z bolu,
Kiedy tyle krzywd w łonie
Co w pszenicy kąkolu;
Ot, gdy tak nas Bóg wiedzie,
Trza mieć serce przy biedzie.

Trza prócz grosza do skrzy i
Jeszcze mienia przysporzyć,
Bo źle taki chłop czyni
Co wie tylko jak spożyć —
Tylko wy tam na przedzie,
Miejcie rozum przy biedzie.

A więc wy też na czele
Miejcie serca dla kmieci,
Aż da Pan Bóg w niedzielę
Znów nam słonko zaświeci,
I już nam się powiedzie
W szczerej pracy przy biedzie!

Bogumił ze Świerza

Historya o niedobrym synie.

I.

O Marcinie, o jego rodzicach, i o jego synie.

Nie każda się piszczałeczka,
Ulini we wiośnie,
Nie każde się dziecko uda,
Chociaż gładko rośnie.

We wsi Bronowie mieszkał wieśniak Marcin ze żoną swoją Marcinową na ojcowiźnie, którą im ojciec Marcina zostawił. Nie trzeba było długo pytać do zagrody Marcina, bo każde dziecko cię do niej zaprowadziło. Bo też to zagroda Marcina różniła się bardzo od innych. Dom porządny z dylów dębowych dobrze otynkowany i pobielony, sień przedzielała go na dwie połowy, jedną dla sług, a drugą obszerniejszą dla gospodarstwa, okna chędogie, strzecha pod linię ucięta, i podwórko obszerne, czyste a gładkie, żebyś po nim jajo potoczył. Za domem piwnica dylowana pod daszkiem na nabiał. Dalej stajnia i chlewy, za niemi dwie tęgie i wielkie stodoły, i brogi pełne zboża i siana, a obok w szopie wozy mocne i kute, a w stajenkach koniki i krówki jak gałki wykarmione i wymuskane, a i uprząż na koniach porządna. Za stodołami sad a w nim jabłka, gruszki i śliwki, że u ogrodnika lepszych nie znajdzie, a pasieka, to prawdziwie pańska, kilkadziesiąt ulów,

a miodu to tyle żeś całą wieś na Boże Narodzenie obdzielił, i jeszcze wiele beczek żydzi zakupili. Taką to zagrodę zostawił Marcinowi jego ojciec Piotr, który choć dziś już i żona jego, matka Marcina nie żyją, o których wam także wspomnieć coś muszę, boć byli to ludzie bardzo uczciwi i pracowici.

Piotr i Piotrowa byli za życia swego wielce w całej wsi szanowani. W kościółku pierwsze miejsce im się należało, a na drodze wszyscy pierwsi witali ich z uszanowaniem, ustępywali z ścieżki, a gdy przez wieś przechodzili, to się dzieciska, porzucając najmilsze zabawy tak do całowania rąk Piotrowych zbiegały, że im i rąk nastarczyć nie mogli. Piotr z Piotrową starostowali na każdem weselu a mało niewszystkie dzieci były ich poschrzestnikami. Nie wzbijały te honory w dumę Piotrów, bo byli to z gruntu uczciwi ludzie, nie lenili się z pomocą nikomu, a zaniemógł kto we wsi, to nigdzie tylko do Piotrowej, bo to ona i poradziła i lekarstwa udzieliła, którego zawsze pod dostatkiem miała i dla drugich i da siebie. A byli też oboje bardzo nabożni, nigdy nie odbyła się służba Boża, żeby Piotrowie na niej nie byli, trafiło się, że ktoś umarł, to Piotrowie każdego odprowadzili na wieczny spoczynek pod kościółek i pierwsi z pomocą i pociechą dla sierót spieszyli, a i o Bogu nie zapominali, i wiele tam było sprzętów w parafialnym wiejskim kościółku ofiarowanych przez Piotrów pobożnych.

Piotrowie dziękowali Bogu za dostatek a mieli go siła, lecz nie używali go tylko sami, ale chętnie dzielili się z biednymi a nigdy jakoś niedostatku nie uczuli. Jedną tylko wadę popełnili, że jedynakowi swemu Marcinkowi wiele folgowali, a ten wyrosłszy w bucie nie uszanował starszych, ba nawet rodziców własnych.

Otóż to w rocznicę śmierci Marcinowego ojca, nieboszczyka Piotra, bo Piotrowa już dawniej w żalu i smutku świat ten pożegnała, dożywszy owoców swego folgowania Marcinkowi, kiedy to oboje starzy Marcinka ożenili i cały mu dobytek oddali, jak przewodził nad nimi w własnej ich chacie, otóż w rok po pogrzebie Piotra, stało się, a było to późnej jesieni, kiedy już wszystko uprzątnęli na polu, wyprawiali u sąsiada Marcinowego wesele, zajął się smalec w kominie, padła

iskra na stodołę Piotra i spaliło się całe obejście wraz z chatą i całym dobytkiem, który nieboszczykowie Marcinowi zostawili. Mało tylko co uratowano; a ponieważ chata, z której ogień wyszedł nie spłonęła, a obejście Marcina, choć cała wieś ratowała a wiatru nie było do szczętu zgorzało, upatrywali ludzie w tem nieszczęściu karę Bożą za jakieś wielkie przewinienie Marcina.

Zniósł Marcin to nieszczęście bez szemrania ze zdaniem się na wolę Boga, lecz odmienił się bardzo od tego czasu. Złożył butę, jaką miał dotychczas, boć łatwo to było przy takim majątku jaki mu ojciec zostawił, a wziął się szczerze do pracy. Odbudował się pomału za pomocą ludzi miłosiernych, pomnych jeszcze na dobrodziejstwa ojca i matki jego, lecz nie szło mu już odtąd nic w ład, widać nie było nad nim błogosławieństwa boskiego. Kiedy dał Bóg rok urodzajny, a innych żyto stało jak las, a pszeniczka była jak złoto, to u Marcina stokłos przygłuszył żyto a dziki groszek wykładł pszenicę, że aż żal było się patrzeć na tyle pracy i mozołu. Nie lenił się Marcin w pracy, pracował jak robak w swej ziemi i nie zażałował potu i bogdaj czy nie lepiej uprawił swą rolę jak inni, ale takie to już było zrządzenie nieba. A i chudoba choć jej Marcin lepiej dogadzał niż sobie, i chodził koło niej dniem i nocą, sam karmił i poił jakoś mu niedopisywała, nie było roku żeby mu kilka sztuk nie odeszło, choć w całej okolicy nie było żadnej zarazy, a i złodziej nigdzie lepiej nie ukradł, czy to krówkę z obory, czy konika z pastwiska, czy też połeć słoniny lub jaki przyodziewek z komory, jak u Marcina, bo go nigdy nie złapali i nigdy się szkoda nie wróciła, a chociaż ludzie nie mogli nic zarzucić Marcinowi, toć przecie mówili między sobą:

— Widocznie cięży nad chatą Marcina kara Boża za jakieś przewinienie.

A mieli Marcinowie syna jedynaka, boć reszta dzieci jeszcze poumierała i ochrzcili go Florkiem, w nadziei, że patron jego będzie ich miał w swej opiece i chatę ich od zgorzenia powtórnego uchroni.

Florek był to sobie chłopak na całą wieś i zdrowy i urodziwy, ale jak to zwykle bywa, że z jedynaka rzadko co do-

brego będzie, że rodzice wielką swą miłością sami go zepsują. Tak też stało się z Florkiem. Chwalili ludzie Florka mówiąc: choć Marcinom w czem innem Bóg nie błogosławi, to nagradza im Florkiem. Wiedział o tem Florek, nabierał dumy i nie wiele przykładał się do pracy. Kiedy Marcinowie starzy uginali się pod pracą, to Florek sobie bąki zbijał. Nie raz, kiedy już miarkę przebrał, a napominanie nie pomogło, pogroził Marcin trochę, ale go wnet Marcinowa udobruchała, mówiąc:

— Niech no trochę jeszcze podrośnie a będzie miał lepszy rozum, to się sam weźmie do pracy.

Tak rósł Florek w lata i w siłę, ale co raz więcej lenił się do pracy, a kiedy go raz Marcin naganiał do roboty a Florek mu ofuknął, byłoby mu się to nie upiekło, gdyby Marcinowa była nie zastąpiła, i skończyło się na tem, że mu Marcin pogroził, ale go przymusem przyprzągł do pracy, odtąd począł Florkowi niesmakować chleb w domu.

II.

Jako Florek niedobry przystaje na żołnierza.

Wolę ja ci na wiosczynie
Snopy w polu zbierać,
Aniżeli z wojakami
W boki się podpierać!

Zanosiło się pod ten czas na wojnę, het gdzieś tam daleko z Francuzem i Włochem. Wojska się wszystkie zbierały a urlopniki co dzień przez Bronów do swoich komend przechodzili. Jednego dnia, tak koło południa pusto było we wsi, bo wszyscy powychodzili do żniwa, Bóg dał prześliczną pogodę, tylko jeden Florek wałęsał się sam jeden, i tak pomału przywałęsał do karczmy w nadziei, że tam może znajdzie drugiego takiego leniucha jak sam do pomocy. Przed karczmą zastał konie cesarskie pouwiązywane do płota a lance ułańskie zatknięte do ziemi powiewały chorągiewkami. Florek jak każdy próżniak ciekawy, wstąpił do karczmy. Zastał tam kilkunastu ułanów, a wszyscy chłopcy jak smyki, mundury na nich ładne, miny dziarskie, wesołe, głowy podchmielone a tak zuchowato brali się do arendarza, że tenże pościągał czem prędzej flaszki i kieliszki z szynkfasu, a podawał wódkę przez okno od

alkierza. Ułani panowali w całej karczmie. Właśnie gdy Florek wstąpił do karczmy jeden z ułanów kończył jakąś piosnkę wojacką, a wszyscy wrzasnęli chórem na zakończenie:

Nie ma pana nad ułana

potem częstował ten co spiewał swoich kamratów wódką i kiedy już pił do ostatniego postrzegł Florka a że to był chłopak tęgi i urodziwy przystąpił i do niego z flaszką i zapytał zuchwale:

— A czemu ty durny chamie nie ułanem?

Florkowi samemu głupio się zrobiło na takie zapytanie, nic nie odpowiedział, ale pomyślał sobie, ta prawda, czemuż ja nie mam być ułanem, przecież to najszczęśliwszy człowiek taki ułan.

— Co ty chłopie zapomniałeś języka, napij no się z nami, to ci zaraz rozum do głowy wlezie.

Na takie zaproszenie nie było co robić. Przyjął Florek kwaterkę z wódką i wychylił duszkiem chcąc zucha pokazać przed ułanami.

Wzięli Florka między siebie i nuż dalej spiewać, podskakiwać, szabelkami pobrzękiwać.

Hulaj dusza, bez kontusza!
Kiedy dają jeść i pić,
Niech honoru nikt nie rusza,
Jakem ułan będę bić!

Po każdej spiewce szła blaszanka koleją i Florka także nie mijała. Florek na zkamratanie kazał nalać wódki i dać przekąski, słoniny, sera i chleba. Poznali po tem ułani, że to chłopak nie kiep i musi mieć grosz kiedy go tak arendarz słucha, nuż dalej mu basować, dalej podmawiać, żeby przystał do ułanów, że zaraz zostanie kapralem, jak oto ten między nimi najstarszy, a że to teraz wojna to może wyjść i na oficera. Wtrącił Florek że nie umie nic czytać ani pisać.

— E! ta to tego głupstwa, to się przy wojakach za dwa dni wyuczysz; jak tylko chcesz zaznać co dobrego w świecie, to jedź z nami, a znajdziesz tam gdzie konia w ojcowskiej stajni, a jak tylko przyjedziem do komendy to zaraz wszystko zafasujesz a swego konia sprzedasz to będziesz miał na hulankę.

Podobała się taka nauka Florkowi, hulać a nic nie robić. Nie ociągał się też długo, podał rękę na zgodę, kwaterek poszedł w koło i sprawa była skończona.

III.

Jaka zgryzota była u Marcinów.

Masz u źródła czystą wodę,
Pomnij go nie kłócić,
Masz u matki swej ochłodę,
Pomnij jej nie smucić.

Nim ułani popici dosiedli koni, już Florek wyprowadził konia ze stajni ojca, a i w chałupie posprzątał co było na doręǳiu a jemu się przydało, wziął i pogonił za ułanami. Nikt we wsi nie wiedział tego, tylko jeden arendarz wiedział o wszystkiem, ale przez złość, że mu Marcinowie nie wiele dali targować na wódce, i jeszcze drugich mu odmawiali, nie powiedział zaraz Marcinom, gdzie się podział Florek, aż kiedy pod wieczór wrócili z pola a nie zastali Florka, poczęli się skwapliwie rozpytywać, ale nikt nic nie wiedział, aż tu kiedy strudzeni i zmartwieni usiedli przed chatę i poczęli po swojemu dochodzić, gdzieby to się Florek pod noc podział, przychodzi rudy Mendel, arendarz i nuż w targ z Marcinami, że on tylko jeden wie gdzie Florek, ale nie powie aż mu nie odstąpią ten kawał kartofli za sadem, co od nich chciał kupić na wiosnę. Przystała Marcinowa od razu, bo już jej dłużej nie wytrzymać bez Florka, wtedy dopiero opowiedział Mendel, jak to ułani zbuntowali Florka i jak on do nich przystał i pojechał z nimi a nie zapłacił nawet za wódkę, co u niego napili. Nie było też tej nocy w chacie Marcinów ani snu ani spoczynku. Marcinowa tylko szlochała, ślubowała różne ofiary, a wyglądała rychło nastanie dzień, by czemprędzej pojechać i odszukać Florka. Skoro tylko brzask, już się toczył wóz drogą kędy pojechał Florek, a na nim Marcin z Marcinową bardzo zmartwieni. Lecz widać była to kara Boska za wielkie folgowanie Florkowi, po dwóch dniach szukania wrócili Marcinowie ledwo żywi ze zgryzoty i fatygi bez Florka i bez żadnej wieści o nim. Byli i w komendzie, ale tam o Florku nic nie wiedzieli,

bo on z namowy ułanów inaczej się przezwał, by go tak prędko nie znaleziono.

Smutno też było odtąd w zagrodzie Marcina. Marcinowa ni jadła ni spała, ni jej się robota brała. Opuściła ręce i tylko Matkę Najświętszą i wszystkich Świętych wzywała, nie szczędząc mszy i ofiar by jej tylko Florka wrócili.

Skończyła się wojna, wracali żołnierze, ale wiele ich też brakło, co pokładli swe kości het, het, kilkaset mil od swoich. O Florku żaden wieści nie przyniósł. Jedni mówili że pewnie zginął, bo to była bardzo krwawa wojna, inni zaś pocieszali matkę jak mogli, ale gdzie tam Marcinową pocieszyć kiedy Florka jak nie widać tak nie widać. Tak minęło dwa lata, ba i trzeci już dobiegał końca jak Florek porzucił zagrodę, kiedy to jednej niedzieli ludzie tej wsi wracający pod wieczór z pobliskiego miasteczka, gdy doszli do figury Najświętszej Panny co stała za wsią przy drodze ujrzeli Marcinową klęczącą z opartą głową o figurę. Przystąpili bliżej, a że nie słyszeli pacierzy Marcinowej a że tak nieruchoma klęczała, zdjęci trwogą, poczęli pytać i wołać, a że nic im nie odpowiadała, wzięli ją za ramiona i z przerażeniem znaleźli omdlałą Marcinowę. Wzięli ją na ręce i tak niosą do wsi, aż oto w pół drogi otworzyła Marcinowa oczy i zapytała słabym głosem, „Gdzie mój Florek, kochany mój jedynak?“ Marcin nie dziwił się temu bardzo, że Marcinowa do domu nie przychodziła, gdyż często wychodziła pod figurę, długo się modliła i długo wyglądała powrotu Florka. Gdy ujrzał Marcin nowe swe nieszczęście, posłał czemprędzej po doktora do miasteczka, bo nikt we wsi pomocy jej dać nie mógł, bo i cóż tam pomogą ziela i przemawiania, gdzie dusza chora.

Kiedy doktor przyjechał już Marcinowa nie żyła, a ten obejrzawszy zimne ciało, rzekł do Marcina i zawodzących kobiet, że w niej żółć pękła z wielkiego żalu i zgryzoty. Pogrzebano po trzech dniach ciało Marcinowej, odprowadziła ją cała wieś do grobu pod kościółek, a płakały wszystkie niewiasty, boć to Marcinowa była dobra kobieta i nabożna a tak ją Bóg srodze karał. Wracając z pogrzebu rozpowiadali sobie o niej wiele dobrego, i powtarzali, że nie należy dzieciom swoim wiele folgować bo za to Bóg rodziców karze.

Marcin pochylił się o jakie dziesięć lat naprzód ku grobowi, i siły go opuściły i życie mu w samotności nie miłe a Florka jak nie ma tak nie ma. Gospodarstwo upadło, bo dobrze to powiadają, że pańskie oko konia tuczy, to też kiedy nie stało Marcinowej a Marcin dla starości, smutku i zgryzoty nie mógł wszystkiego dopatrzeć, sługi kradli co mogli a nakradłszy dosyć i służbę porzucali, boć trudno teraz o dobre sługi. Żebyć to przynajmniej wiedział że Florek powróci, w robocie go wyręczy i gdy Bóg da, oczy starcowi zamknie i do grobu odprowadzi i pomodli się kiedy nad grobem?

Co się zaś z Florkiem działo, opowiemy wam w drugim numerku.

Jak robić złoto?

(Dokończenie.)

Kiedy już rok cały akuratnie minął, zdybał xiądz proboszcz pewnego dnia Szymona.

Szymon. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Xiądz. Idźcie z Bogiem. Ale, ale Szymonie! zatrzymajcie się, bylibyśmy prawie zapomnieli.

Szymon. Zapomnieli? a cóż takiego?

Xiądz. Tylko sobie dobrze przypomnijcie!

Szymon. Ja sobie nic nie mogę przypomnieć.

Xiądz. A cóż to za dzień będzie jutro?

Szymon. Jutro jest czwartek, dwudziestego września.

Xiądz. No, a cóż to mamy zrobić?

Szymon. Jegomość ma starego Dominika pochować, a ja mam jutro żyto siać.

Xiądz. Ja wcale o czem innem myślę. A wy mielibyście o tem zapomnieć?

Szymon. A coż takiego?

Xiądz. Jutro macie się nauczyć złota robić.

Szymon. Doprawdy ja o tem zupełnie zapomniałem. A dyć to prawda. To prawdziwie dziwno mi, żem o tem mogł zapomnieć.

Xiądz. A jak to być może? przecież wy nie jesteście taki zapominalski. Czy wam się coś w głowie pokręciło? czy macie jakie zmartwienie?

Szymon. O nie! mnie się bardzo dobrze powodzi. Mnie nic nie brakuje, niech Bogu będą dzięki. Ale o złocie, jak mi się zdaje, od dawnego czasu ani nie pomyślałem.

Xiądz. Ba! inne razy to tak nie było. Na początku przeszłego roku toście o niczem innem nie rozmyślali, tylko o złocie a przy tem wyglądaliście zawsze zmartwieni i posępni.

Szymon. Proszę Jegomości, to wszystko przeszło i odmieniło się.

Xiądz. Jakim sposobem się to stało?

Szymon. Ja sobie muszę sam dopiero przypomnieć. Bodajcie, jakże się to stało? Anu już wiem. Oto jegomość: Dla biedy i długów, w których tkwiłem, to mi ogromnie szło o nauczenie się złota robić i zostać bogatym.

Xiądz. A teraz nie?

Szymon. Byłem zawsze w obawie, żebym go nie utracił i w strachu, żeby mnie szatan nie skusił do gorzałki, albo do kłótni.

Xiądz. A cóż dalej?

Szymon. O! często mnie też chętka napadała do złego. Aleć jegomość zawsze tak mądrze gadał o wszystkiem i dawał mi rady i sposoby, a tak ciężkie pokusy szczęśliwie przezwyciężyłem, a ztąd było mi coraz bardziej lżej na sercu.

Xiądz. Ale jak mogliście o złocie zapomnieć?

Szymon. Oto jegomość mnie tak wiele pięknych rzeczy nauczył, ztąd też użyłem tej nauki i ulepszałem sobie moje gospodarstwo i na tem wychodziłem coraz lepiej. Z moją Jadwigą tak żyłem, że to było jedno ciało i jedna dusza. Żniwo miałem bardzo dobre, niech Bogu będą dzięki, tak dalece, że moje długi mogłem całkowicie zapłacić. Otóż jegomość żyłem szczęśliwie i dla tego wcale mi złoto na myśl nie przyszło, zupełnie o niem zapomniałem.

Xiądz. Szymonie! mnie się wydaje, że wy jakoś już na owo złoto nie cieszycie się, jak przedtem?

Szymon. O mój jegomość, ja się cieszę! Prawdać, że ono mi teraz nie jest tak koniecznie potrzebne — tak jest, ale...

Xiądz. Cożeście chcieli powiedzieć?

Szymon. Oto, coś ciężkiego padło mi na serce.

Xiądz. No, cóż takiego?

Szymon. Oto mój jegomość, ja już często powiadałem jegomości, jakim sposobem oddałem się pijaństwu i ciągłej niezgodzie z moją Jadwigą. To była mamona, którą w spadku dostałem, ta mnie zaślepiła, serce napełniła złością, a wszędzie mnie wystawiała tak, żem myślał: mam wszystkiego zanadto, tego nie mogę przebrać i przehulać a muszę wesoło żyć z innymi hultajami, jak ja się to z nimi pić nauczyłem, a potem pić musiałem, bijatyki, procesa. Ach mój Boże, jak też to serce ludzkie zuchwałem zrobić się może, a potem o wszystkiem zwątpi — o! gdybym się znowu do takiego życia miał wrócić.

Xiądz. To się nie może stać Szymonie, drogie złoto zachowa was od tego.

Szymon. Ach mój jegomość, ja właśnie myślę, żeby ono mogło mnie do dawnego życia pewno doprowadzić.

Xiądz. Nie Szymonie, rozpatrzcie się tylko dobrze, ono na waszą zgubę nie może być przeznaczone. Gdzież je więc macie?

Szymon. Gdzie je mam? przecież jegomość ma mnie dopiero nauczyć, jak ono się robi.

Xiądz. Dobrze, zaraz zabierzemy się do tego.

Szymon. Doprawdy?

Xiądz. Nie Szymonie, wy je już umiecie robić, czyż nie domyślacie się? Tak Szymonie, w waszym domu, we waszem małżeństwie, we waszem sercu już jest złoto i skarb. Wy się już nie upijecie, wy się nie kłócicie, nie bijecie żony i długów nie macie. Jesteście umiarkowani, porządni, kontenci z waszego położenia, kontenci jesteście sami ze siebie. To jest złoto, to jest skarb, którego złodzieje nie ukradną i który mi Bóg polecił, abym wam go dał i był pomocą do nabycia go przez cały upłyniony rok, a niech Bogu będą dzięki, żeście się nauczyli robić złoto i skarby zbierać.

Szymon. No mój Boże! czy jak też kiedy byłbym się tego domyślał. Ale niech Bogu będą dzięki! Ach mój jegomość!

Jegomość jest moim wybawicielem, że sobie jegomość tak ze mną ułożył, jak widzę, było to bardzo potrzebne, bo nic na świecie nie byłoby mnie od moich nałogów odprowadziło. Niech jegomości Bóg za to zapłaci, że mnie na drogę cnotliwą naprowadził.

Xiądz. Czyż nie myślicie o tem, jakbyście się złota nauczyli robić?

Szymon. Ja się o to mam kłopotać? Wstydzić się powinienem tego, żem się już dawniej nie poprawił, ani przez świętą naukę religii, ani przez spowiedź, ale przez mamonę złota dopiero dałem się od mojego złego nałogu odprowadzić. Cieszę się, że z robienia złota nic nie będzie, byłoby ono prawdziwą zapłatą za moje bezbożne życie.

Xiądz. Szymonie! wyście wszystkie moje życzenia spełnili, ba! nawet prześcignęli. Teraz bądźcie dobrzy dla tego samego, że jest dobre i cnotliwe, dla samej cnoty.

Szymon. Ja jegomości nie będę wielu słowami dziękował, bo jegomość, jak widzę ma w sercu najlepszą za to zapłatę. Muszę wracać do mojej Jadwigi, bo bez niej jestem niespokojny, muszę wrócić do mojej komory i ukorzyć się przed Bogiem, bo moje kolana zginają się ku ziemi, a serce moje wznosi się do nieba. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Szkółka Niedzielna.)

Wróż.

A żebym ja znalazł
Takiego człowieka,
Coby mi powiedział
Dolę, co mnie czeka!

— Jabym ci powiedział,
Jabym ci wywrzóżył:
Takać dola czeka
Na jakąś zasłużył!

T. L.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.